

Alicja Kononowicz

Sygnatura notacji: **N0732**

Data urodzenia: **08.02.1931 r.**

Data nagrania: **04.04.2025 r.**

Miejsce nagrania: **Dom Świadka, Łódź, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Grzegorz Łeszczyński**

Czas nagrania: **50 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Alicja Kononowicz: Mój ojciec był kotlarzem. Pracował u Simpleksa na Górczewskiej, przy moście. To była firma. I tam on pracował. Był jako kotlarz. Budował też tam ten... Jak jest Dworzec Zachodni, tam też budował różne rzeczy. Mama moja nie pracowała, bo ojciec zarabiał tyle, że ona nie musiała pracować, wychowywała dzieci. No i tak to wszystko szło.

Grzegorz Łeszczyński: A ile rodzeństwa pani miała?

Alicja Kononowicz: Brata tylko. No i co?

Grzegorz Łeszczyński: A jeszcze proszę powiedzieć, kiedy się pani urodziła? Jakby pani mogła podać datę.

Alicja Kononowicz: 2 sierpnia 1931. W Warszawie oczywiście, na Solcu, bo tam mieszkał mój ojciec. I po ślubie mieszkali na Solcu, nad Wisłą. W kościółku tam jestem chrzczona. I co tam jeszcze? Potem ojciec się przeprowadził na Urlichów, bo bardzo kochał zieleń, takie pola naturalne, a tam były pola dookoła. Dookoła tak jak szła Górczewska, kończyła się na pętli i pętla była tam, a tu Jana, Koło. Górczewska się kończy i Koło się zaczyna i pętla tramwajowa. I co jeszcze?

Grzegorz Łeszczyński: Pamięta pani może tramwaj na Księcia Janusza? Bo wiem, że przed wojną tam tramwaje kursowały.

Alicja Kononowicz: Ale to nie na Księcia Janusza, nie chodziły żadne tramwaje. Dopiero trzeba było iść kawał przez wały tak zwane, bo tam były wały. Po wojnie, nie wiem, po czym te wały zostały. I po lewej stronie były ogromne wały. I tam w tych dołach, w tych rowach nic się nie budowało. Parę domków było tylko po lewej stronie, jak się szło do Bolecha. To proszę pana, było parę domków. A dalej tylko same wały i tam dopiero była ta Bolecha ulica. I tam dopiero chodzili tramwaje.

Grzegorz Łuszczynski: Tą ulicą Bolecha, tak?

Alicja Kononowicz: Tak, do Bemowa. I tam była mijanka. Trzeba było czekać, aż tamten tramwaj z Bemowa przejedzie, dopiero mógł jechać następny, bo był jeden tor. I myśmy jako dzieci jeździli tam na kolonie.

Grzegorz Łuszczynski: To na Boernerowie, tak?

Alicja Kononowicz: Na Boernerowie. Teraz nazywają Boernerowo. Kiedyś to było Bernerowo. No i tak to było. Co jeszcze?

Grzegorz Łuszczynski: Co pani zapamiętała jeszcze z tej właśnie Woli, tej tutaj już... krańcowej, że tak powiem, przedwojennej, czy jeszcze na przykład sam wybuch II wojny światowej, jak pani zapamiętała?

Alicja Kononowicz: Tam pamiętam, żeśmy się bawili na tych polach przy parku. Tu był cmentarz polski po prawej stronie ulicy, a to była, jaka ta ulica była? Redutowa. Redutowa szła do kościoła świętego Wawrzyńca. To był mój kościół. Kościół stał z prawej strony, potem był ruski cmentarz i też wały. Oczywiście te wały wszędzie takie były. I ruski cmentarz i za cmentarzem był park. Tam wchodziło się od Wolskiej i stał pomnik generała Sowińskiego. I oni dlatego tam się mścili za to, że ten generał ich tak tam potraktował. I tam potem zaczęli właśnie zabijać. Jak była wojna, się zaczęła w 1939 r., to ojciec mój nas wziął, spakował i pojechaliśmy na Czerniaków do babci mojej, bo tam była cała rodzina. Tam się urodziłam, bo Czerniakowska szła, a z drugiej strony szedł Solec. I tam się urodziłam i tam ojciec mówi: jedziemy tam do babci, bo tam jest cała rodzina. I żeśmy przetrwali tą wojnę. Wujek nasz, wujek Edek, był żołnierzem, wojował. I z Pragi leciał przez most pod kulami i niósł cały plecak mięsa końskiego do babci, bo wiedział, że tam jest dużo ludzi do żywienia. I ten wujek nasz przyniósł nam to mięso. Babcia moja prawie zemdląca: jak ty mogłeś dziecko przylecieć przez ten most? Przez Kierbedzia. I on mówi: no przecież wiedziałem, że jesteście głodni. A kto wam da? Potem jak już było zawieszenie, to myśmy chodzili po fabrykach. Stało się w nocy, żeby dostać bochenek chleba pod piekarnię. I matka nas wzięła, bo dawali jeden bochenek na osobę, matka nas wzięła i żeśmy stali do rana. I nad ranem mama mówi: wiecie co, tu jest tak dużo ludzi, że my tego chleba nie dostaniemy. A druga piekarnia była po drugiej stronie. Chodźmy tam. I tylko żeśmy odeszli, a w tą piekarnię uderzył jakiś pocisk i wybił tych ludzi. I myśmy tak ocaleli dzięki temu. No i rano żeśmy tego chleba dostali. I jeszcze po drodze był taki... Fabryka ogórków konserwowych w puszkach. I myśmy sobie też tego nabrali, tych ogórków konserwowych i zawieźliśmy do domu. Potem patrzymy rano, a nasze wojsko jest gnane. Szturm Wojska Polskiego. Idzie taki szpaler i proszą: dajcie coś do jedzenia. Mama mówi: nic nie mamy tylko ogórki. No to otworzyły te puszki, to były duże puchy, takie. I mama mówi: no to dajcie im tych ogórków. I tak żeśmy

te ogórki po jednym każdym, po jednym każdym i w końcu się skończyły, a jeden tak prosił: dajcie tego ogórka. No nie ma już, skończyło się.

Grzegorz Łeszczyński: To było po kapitulacji Warszawy, tak? W 1939 r?

Alicja Kononowicz: Tak, w 1939 r. I potem wróciliśmy do domu naszego, na Urlichów. Ale już nic nie było, wszystko wyrabowali, całe meble, wszystko, kilimy, które były w domu, dywanik. Wszystko zabrali. I nie wiadomo kto to wziął, ale ktoś wziął. No i takie było życie.

Grzegorz Łeszczyński: To znaczy, jacyś szabrownicy rozumiem?

Alicja Kononowicz: Szabrownicy, tak. Podobno chłopci ze wsi. Przyjeżdżali wozami i wywozili to wszystko, co się dało. A mieliśmy piękne meble, bo były takie jak szkiełko. To były bardzo drogie rzeczy, bo mój ojciec był wielki pedant. No i proszę pana, wszystko wyrabowali. Tak że zbieraliśmy w piwnicy, co się dało. I tak się zaczynało życie znowu. No i tak przetrwaliśmy. Jako tako przez to wszystko żeśmy przeszli.

Grzegorz Łeszczyński: Dobrze, to proszę powiedzieć w takim razie, kiedy państwo się przenieśliście do Lublina i w jakich okolicznościach?

Alicja Kononowicz: To był 1942 r., jak ojciec pojechał. I musiał zabrać mamę, bo mama sobie nie mogła poradzić sama. I tak jak mówię, zamieszkaliśmy u ludzi, którzy też mieli dwoje dzieci, ale tam wynajmowaliśmy pokój. I to był drugi budynek od lotniska, tego starego. To było stare lotnisko, które było nieuczynne, puste. I myśmy tam sobie jako dzieci biegali, bawili się, przez to całe lotnisko robiliśmy biegi. I proszę pana, tak jak mówię, w pewnym momencie pokazali się Niemcy. A ponieważ to był drugi budynek od lotniska, to było bardzo blisko. I jak się ci Niemcy pokazali, to zaczęli budować te baraki. I proszę pana, już wybudowali jeden, no to zaczęli dwa, trzy, zaczęli zwozić tych jeńców. I dalej budowali oczywiście, bo przecież Majdanek to nie był mały obóz, bo to było duże lotnisko. I proszę pana, tak jak mówię, nazwa była od Majdanu Tatarskiego ulicy. Kto by pomyślał? A ta ulica, która prowadziła od Majdanu, nazywała się Rozdroże. A myśmy mieszkali Rozdroże 9. To było przy samym tym lotnisku. I jak obóz zbudowali i potem zagrodzili to wejście tej ulicy i tam stała waha i Niemcy już tam nie wpuszczali. Już nie można było wejść na to lotnisko. I proszę pana, tak jak mówię, ten obraz tego Żyda, który trzymał go za tą cholewę, ścisnął go i prosił o łaskę, a on go katował takim szpicrutą tego człowieka. Sponiewierał go niesamowicie.

Grzegorz Łeszczyński: Ale to było na terenie obozu?

Alicja Kononowicz: Na terenie obozu, już za płotem. A ja stałam i patrzyłam na to przez szpary. Nikt nie wiedział, o co tam chodzi. Tylko było zagrodzone, to ulicę zamknęli i budowali te bloki. A jeszcze nie wiadomo było, że to będzie właśnie obóz. I zaczęli zwozić, zwozić, zwozić. No i mama musiała wyjechać ze mną, bo ja nie mogłam spać w nocy. Tak byłam przerażona tym wszystkim, co się tam dzieje. Bo jako dzieciak latałam i w te szpary patrzyłam, no bo to bliźniutko było. Tylko wyjść z bramki, bo tam były też wszystko zagrodzone płotkami, takimi te domki poodgrodzane, każdy miał

swój płótek. I proszę pana, to mama nie wiedziała nawet, zabroniła mi tam chodzić, ale ja jako dziecko, jak to mówią, przemknęłam się tam, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Tam były straszne rzeczy. No i co można było poradzić? Musiała wyjechać. Ojciec został sam, miał zapalenie płuc i bardzo ciężko chorował, a nie mógł odmówić pójścia do pracy, bo był Niemiec, pan Wolmann. Był kierownikiem tej całej instytucji i trzeba było tam pracować. Koniec. Jego nie interesowało zdrowie Polaka, jego interesowało, żeby jak najszybciej skończyć ten, jak to się mówi? No ten kocioł, bo musieli ten spiritus odtwarzać przecież.

Grzegorz Łuszczynski: Bo pani ojciec, rozumiem, został tam oddelegowany z Warszawy, tak?

Alicja Kononowicz: Tak, oj tak. I ten, i ten kierownik też byli delegowani tam, żeby budować ten monopol spirytusowy. No i co proszę pana?

Grzegorz Łuszczynski: Ile czasu tam pani z mamą i z bratem, rozumiem, tak, byliście w Lublinie? Do kiedy przebywaliście tam?

Alicja Kononowicz: Nie pamiętam, wie pan, jak to było długo, ale w każdym bądź razie było parę miesięcy.

– Kilka miesięcy, tak?

Alicja Kononowicz: Tak. Pamiętam tylko, jak żeśmy jechali tam do ojca i dojechaliśmy do Lublina pociągami, a z pociągu jeszcze trzeba było jechać wozem. I koń ciągnął nas przez las, a w lesie takie żmije wisały na gałęziach. Strasznie dużo żmii było tam. Ja się straszliwie bałam. Ale ten pan mówił: nie bójcie się, one na nas nie skoczą. No i tak jakoś żeśmy dojechali.

Grzegorz Łuszczynski: I z Lublina pani z mamą i bratem wróciliście do Warszawy, tak?

Alicja Kononowicz: Wróciliśmy tu do Warszawy. Potem ojciec wrócił. No i co się stało? Ojciec trzy tygodnie i już go nie było. Umierał na moich rękach, bo matka jeździła na szmugiel. Do, nie pamiętam już gdzie, w każdym bądź razie, przywoziła cukier. Miała takie torby na sobie i w tych torbach przywoziła cukier, bo nie było cukru przecież. Nic nie było, co tam mówić. I proszę pana, matka jeździła na ten szmugiel. I potem, jak już ojciec umarł, no to nie było już co jeść. Już była bieda niesamowita.

Grzegorz Łuszczynski: Kiedy zmarł Pani tata?

Alicja Kononowicz: Słucham? 7 lipca.

Grzegorz Łuszczynski: Którego roku?

Alicja Kononowicz: W 1943 r.

Grzegorz Łuszczynski: No to przed powstaniem.

Alicja Kononowicz: Tak, przed samym powstaniem. Czyli w 1944 r. – W 1944 r., tak. Przed samym powstaniem na 3 tygodnie. No i potem było powstanie. Chodziłam do szkoły na Sokołowską. Sokołowska to była zaraz za mostem i tam była w lewą stronę szkoła nasza. Potem Niemcy zabrali ją na szpital i wyrzucili nas na Bema do szkoły. No i tak chodziliśmy potem na Bema. Bieda była straszliwa, proszę pana, bo to jest... to była Górczewska. I ta Górczewska to, wie pan, byli biedni ludzie. – Przedmieście Warszawy takie były. – Takie już się zaczynało przedmieście Warszawy, a przedmieście było już od pętli tramwajowej. Tam był dom, cztery domy, jak mówię, mieszkaliśmy na Ulrychowskiej 17. To był dom murowany, wysoki, bardzo ładna kamienica. Drugi był dom tak zwany Kilima. Kilim to była restauracja, była przy pętli, przy tej okrągłej pętli tramwajowej, bo tam co?

Grzegorz Łuszczynski: Już nieistniejącej, tak? Bo mówimy o tej pętli tam na ulicy Redutowej, na Olbrachta obecnie?

Alicja Kononowicz: Tak, to było, teraz tam jest Olbrachta. I proszę pana, u tego Kilima ludzie jako tako się karmili, bo przecież nie było nic do jedzenia. U nas nie było Żydów. Tam mieszkali sami Polacy. Ta to gotowała tym Ukraińcom, tym bydlakom. A ja jej pomagałam tylko dlatego, że dostawałam zupę. Ona gotowała dla nich, ale tam trzeba było iść, to była stara kobieta. Pierwszy dzień powstania to był taki, że myśmy jako dzieci, zebrali się w gromadkę i pędziliśmy za most. Zawsze się mówiło pod mostem. Pod mostem żeśmy przelecieli do Sokołowskiej i od Sokołowskiej do Płockiej. Tam żeśmy lecieli ten kawałek. Jak żeśmy przelecieli przez ten most, to od razu był trup. Leżała kobieta, a przy niej worek kartofli. I człowiek, który te kartofle zbierał, bo jeść nie mieli co, to te kartofle temu trupowi zabierał. Ona się nazywała, kartka była na niej, nazywała się Halina Nijniak. I leżała na tej Górczewskiej, po prawej stronie, a my byliśmy po lewej. I doszliśmy do tego trupa, żeśmy go zobaczyli jako dzieciaki, no bo nie wiedzieliśmy, kto to leży. I proszę pana, potem wróciliśmy do domu naszego... Nie do domu, na drugą stronę no i wróciliśmy do domu i okazało się, że oni, Niemcy, rozstrzelali Płocką, szpital na Płockiej. Lekarzy, pielęgniarki, chorych, wszystkich rozstrzelali i rzucali tak na ziemię i zasypywali piachem. To były pierwsze dni sierpnia. A to mój wujek, który niósł, tak jak mówię, przyniósł nam mięso i potem starsza kobieta prosiła go, żeby jej przeniósł paczkę z jednej strony na drugą, na Czerniakowie. I on był bardzo usłużny. I proszę pana, i on niósł tą przez ten Czerniaków. To nie taka duża ulica przecież. I tam zginął, niosąc jej ten tłumoczek.

Grzegorz Łuszczynski: To na początku powstania, tak?

Alicja Kononowicz: Tak, tak, tak. Tak że to była śmierć mojego wujka. A przedtem jeszcze, to był straszny ryzykant. Matka moja nie miała już co jeść i dała mu lisa, miała taki lis zrobiony, dołożony, futro na szyję i dała mu tego lisa i mówi: sprzedaj i daj mi pieniądze, bo nie mam dzieciom za co chleba kupić. No i on wziął tego lisa i poszedł sprzedać. I była łapanka i go złapali. I z tym lisem do tej łapanki go zabrali. I w pewnym momencie, jak samochód skręcał, a to była buda, buda taka otwarta z tyłu, jak samochód skręcał, to on wyskoczył z tego samochodu i proszę pana, uratował tego lisa i siebie. Strzelali za nim, ale go nie trafili. No i taka właśnie była też sprawa. Tak że on był ryzykant i taki uczynny był bardzo. I tak jak mówię, przyniósł nam cały wór mięsa, plecak. I tej kobiecie chciał pomóc i tam go zabili. Przechodził przez ulicę z tym tobołkiem i go zastrzeli. Rzeź Woli, mój kolega, trzynastolatek, miał babkę, która mieszkała u Hankiewicz.

A to jest budynek, był jedyny na Woli murowany, bo Wola to była przecież domki dziadowskie, takie drewniane i inne. Nikt tego nie pamięta. I proszę pana, i on poleciał do tej babki od nas tam z Urlychowa. I wybrali Hankiewiczza dom do rozstrzału, bo oni wybierali po domu. Każdy dom następny, następny, następny. Rozstrzelili i tam pod pomnikiem palili te zwłoki. I ten dzieciak, był trzynastolatek, a chłopcy takie jak wy. To oni jak siekli, to siekli po piersiach i te dzieci, ten dzieciak był niżej i on przeżył. I te trupy go przycisnęły i Niemcy jeszcze dobijali, to fakt, ale on leżał cichutko i nie dał się, nie ruszał się. I proszę pana, przeleżał do wieczora. Przeleżał do wieczora, jak się ściemniło, wyczołgał się spod tych trupów i przez ruski cmentarz, bo ruski cmentarz graniczył razem z...

Grzegorz Łeszczyński: Prawosławny, przy cerkwi, tak?

Alicja Kononowicz: Tak. I on przez ten ruski cmentarz najpierw wylazł z tego naszego parku, potem przez ruski cmentarz i tam Redutową do domu naszego. To jak przyszedł, to matka zemdlła, bo ta krew, która płynęła z tych trupów, to wszystko na niego spływało. I on był tak zarzepiony tą krwią, że matka jak go zobaczyła, to upadła. Tak że to są rzeczy, których nie ma nawet pojęcia człowiek, który tego nie przeżył. A jak było z naszym domem? To nas tak, wpadli bandyci, nic nie można było ruszyć, nie można było ręki wyciągnąć po nic. W domu naszym był człowiek, któremu zabrali... Wyszedł bez dokumentów, bo nie dali mu wziąć dokumentów. I nie można było przejść, bo były wachy, musiał mieć dokumenty. To mama dała mu mojego ojca, który już nie żył i on na tych dokumentach przeszedł. A nas pod ścianą, cały nasz dom dwupiętrowy, tam było mnóstwo lokatorów. Postawili nas wszystkich pod ścianą, karabin maszynowy stał naprzeciwko i mieli nas rozstrzelać. I tak staliśmy półtorej godziny i ten karabin stał i lufa była w nas wycelowana i wszyscy już splotkali się, żegnali, my z mamą. Brat mój był ciężko chory na zapalenie płuc, bo zaraził się od ojca. I proszę pana, staliśmy tak półtorej godziny i w pewnym momencie przyjechał Niemiec na koniu, bo to by było takie zabużańskie, co tak rozstrzelali. I przyjechał Niemiec na koniu, ja pamiętam jak dzisiaj te jego buty, takie świecące jak lustro. Te bryczesy. Taki był elegancki. I rozmawiał z nimi, z tymi, co rozstrzelali, z tym byłem. I proszę pana, rozmawiał, rozmawiał, rozmawiał. I odjechał. Jak on odjechał, to wybrali wszystkie młode kobiety, dziewczynki, moją piętnastoletnią koleżankę, wszystkich pogwałcili. Moją matkę, czterdziestolatkę. Wszystkich pogwałcili, kobiety, wszystkie. I potem nas puścili. To znaczy, nas nie puścili, tylko nas wypuścili z tego kąta i ponieważ tamtą pętlą się szło do Górczewskiej i Górczewską, a tam w Górcze. I stamtąd na Jelonki i stamtąd do Pruszkowa. Opuszczaliśmy Warszawę i jak żeśmy szli dookoła pętli, koło Kilima, to szło ogromna ilość, bo to z Warszawy gnali też ludzi. To ogromna ilość ludzi szła. Taki szpaler z 4 metry i tam za tym szpalerem stała cała grupa Niemców, takich żołnierzy. I myśmy przechodzili, brat mój był bardzo chory, wisiał jedną ręką na mnie, a drugą na mamie.

Grzegorz Łeszczyński: Brat był starszy od pani, czy młodszy?

Alicja Kononowicz: Piętnaście lat miał, dwa lata był starszy. I proszę pana, i myśmy go tak ciągnęły, a on ledwo szedł, bo miał gorączkę przede wszystkim. I proszę pana, idziemy koło tych Niemców i taka, i on... I ten Niemiec jeden rzucił mi paczkę pod nogi. Ja się chciałam schylić, a mama krzyczy: nie podnoś, bo cię rozstrzeli! A babcia szła taka za mną i mówi, ponieważ znała rosyjski i niemiecki. Ten Niemiec krzyczy, a ona mówi do mnie: podnieś, bo on mówi: podnieś to! I ja tą paczkę podniosłam. Co się okazało? Że to była torba kakao. Widział, że ten dzieciak chory, czyli między nimi też byli ludzie. To on rzucił mi to kakao. Kto by mógł kakao mieć wtedy? Tylko Niemcy. I proszę pana, ja podniosłam

i te kakao żeśmy wypili. To było coś, co jak to się mówi, trzeba to też zaznaczyć, że wśród tego była było jeszcze jakieś serce ludzkie. No i tak pognali nas dalej. I tak jak mówię, idziemy, idziemy, idziemy. W pewnym momencie dochodzi do nas kobieta. A mama moja już płacze, bo już nie ma siły go nieść, tego dzieciaka. Ja też już nie mam siły. Idziemy, a ona mówi, ta kobieta: czego płaczesz? A mama mówi: no mam takie chore dziecko, nie mogę już z nim iść. A ona mówi: ja ci pomogę! Mama na nią patrzy i mówi, i w tym momencie dolatuje Niemiec z psem, bo psy i Niemcy to byli po jednej i po drugiej stronie. I ten Niemiec dolatuje i mówi do niej: co tu robisz? A ona mu wyciąga legitymację i pokazuje. A on jej w dach. Mama patrzy na to wszystko, mówi: co tu się dzieje? Ona mówi: wypuść ją, bo to moja siostra. On mówi: to wychodź! I nas zostawił, wypędził nas za szpaler. Akurat były takie krzaki zielone, jakieś tam drzewka małe takie, tak, no krzaki no. I matka moja wepchnęła mojego brata i mnie tam za te krzaki i sama się schowała. I ta kobieta z nami jest. Moja mama się pyta: kim pani jest, że pani nas tutaj znalazła? A ona mówi: ja jestem niemiecka kurwa, ale ja po to się z nimi łądaczę, piję, całe noce z nimi spędzam, żebym takich jak ty ratowała. Miała legitymację z SD. Ja nie wiem, co to była za instytucja, ale to było jeszcze ponad SS. No i jak ta kobieta nas przeprowadziła, szpaler już przeszedł, mama mówi do niej – to już nie pamiętam, gdzie było, ale w każdym razie przy kolejce wąskotorowej. No i mama mówi: to ja już sobie pójdę do tej kolejki, niech pani sobie już głowy nie zawraca. A ona mówi: o kochana, ty nie wiesz, gdzie ty jesteś. Masz dowód warszawski? – Tak. No to już tam jest waha i ta waha cię zatrzyma. I rzeczywiście odprowadziła nas parę przystanków jeszcze i tam dopiero przeszliśmy przez tą... waha ją zatrzymała i też jej w dach biła. I proszę pana, jak już żeśmy przeszli przez tą waha, to okazało się, że nie wiadomo, gdzie ona się rozpląnęła. Nawet nie wiemy kto to był i skąd się wzięła. Czy to można sobie wyobrazić? Ja to mówię, że to mój ojciec ją prowadził.

Grzegorz Łeszczyński: Ale to była Polka, ona mówiła dobrze po polsku?

Alicja Kononowicz: Ona jest Polka, była, mówiła. Ja jestem, mówi, kurwa niemiecka. Tak mnie nazywają, ale ja po to się łądaczę, żebym was ratowała. No były takie kobiety, no. Nie ma co mówić. I proszę pana, i stamtąd pojechaliśmy do tego Grodziska, dojechaliśmy do tego Grodziska, jeden czy dwa przystanki i proszę pana, za Grodziskiem mieliśmy takich państw, u których byliśmy zawsze na letniska, żeśmy wyjeżdżali przed wojną do nich. I tam żeśmy pojechali i tam żeśmy zostali u nich do końca. Potem jak już się skończyła wojna, ruski przyjeżdżali z Mszczonowa do Grodziska, to właśnie przez te szosy. I jak już przejechali ruskie, to my już zaraz mama na drugi dzień, sanki, bo to 17 był przecież styczeń, mróz jak cholera, 30 stopni. Ja nie miałam butów, to mnie szmatami obwiązała nogi i proszę pana, gnała nas piechotą z tymi sankami. Sanki wzięła i kartofli trochę i cokolwiek mogli, to nam dali, a tak nas karmili cały ten czas i proszę pana, tak to było. Dojechaliśmy do jakiegoś tam miasta, doszliśmy i w nocy żeśmy tam u jakiejś gospodyni też nocowali na podłodze, spaliśmy, słomę przyniosła. A tu spaliśmy w stodole do stycznia, bo nie było miejsca. Oni mieli tylko jeden pokój i cztery osoby. To trzeba byłoby codziennie słomę rozsypywać po podłodze, żeby nas położyć. To oni już nie mieli siły też ci ludzie robić koło nas. To, tak jak mówię, spaliśmy w styczniu, 30 stopni mróz, a myśmy spali w stodole. Czyli człowiek może wytrzymać bardzo wiele. No i wróciliśmy tutaj do domu. Mieszkanie było, ale nie było ani jeść co, ani nic, tośmy chodzili rąbać tą kapustę. Tak jak mówię, na te pola Ulrych. I tam matka tą kapustę rąbała siekierą, bo to wszystko było zmarznięte na pniu. Sierpień przecież. Ta kapusta została, bo nie było komu zebrać. No i proszę pana, i tak trzy tygodnie żeśmy jedli tą kapustę. Po trzech tygodniach przyleciał chłopak i mówi do mojego brata: Maniek, tam na Ciepłej jest fabryka misek, garnków. Choć polecimy, to tam uzbieramy i sprzedamy na chleb. I tak było. Poszliśmy piechotą na tą Ciepłą. Ja też w nędznych buciczkach. I proszę pana, tam żeśmy grzebali te rzeczy, wykopywali spod gruzów i jeszcze musieli obejrzeć, czy są całe, no bo nie mogą być oflu-

czony, bo nikt nie kupi. I tak żeśmy tam nagrzebali, nagrzebali tych rzeczy, garnków, misek, miseczek różnych takich rzeczy do jedzenia, żeby były do gotowania. No i proszę pana, na sanki i stamtąd na Pragę. Doszliśmy do Pragi i przez Wisłę, bo most pontonowy był tylko dla wojska. To przez Wisłę szliśmy po lodzie, nie bacząc na to, że możemy się zarwać. Sznur ludzi szedł przez Wisłę na Pragę. I myśmy tak zrobili, poszliśmy za tymi ludźmi. I tam na bazarze sprzedaliśmy te rzeczy za 5 groszy i kupiliśmy za to bochenek czy dwa bochenki chleba i ćwierć kilo słoniny. Co było niemożliwe, żeby mieć to. I tak się wróciliśmy do domu, to ja byłam na kość zmarznięta.

Grzegorz Łuszczynski: To na Bazarze Różyckiego to było, czy...?

Alicja Kononowicz: Ja nie pamiętam, jaki to był bazar. W każdym bądź razie gdzieś tam, tam na Pradze było życie, bo tutaj to nie było Warszawy przecież. No i tak. I tak się pomału zaczęło.

Grzegorz Łuszczynski: Bo ten dom państwa rozumiem, on ocalał w czasie powstania, tak? Na Urlychowskiej, tak?

Alicja Kononowicz: Na Urlychowskiej 17.

Grzegorz Łuszczynski: Nie został jakoś uszkodzony?

Alicja Kononowicz: Nic nie zostało uszkodzone. Żaden z tych czterech domów, które były, nie został uszkodzony. Potem to już było tak różnie. Bieda była straszliwa, a pomału, pomału wszystko szło.

Grzegorz Łuszczynski: Te okolice, gdzie pani mieszkała, bardzo szybko się zaludniały, rozbudowywały? Jak to wyglądało? Pani mówi, że tam było kilka domów w zasadzie.

Alicja Kononowicz: Cztery. Tylko cztery domy i takie domki jednorodzinne. A pierwsze bomby, jakie spadły, to spadły na dom Niemca w 1939 r. Akurat na dom Niemca spadła bomba pierwsza, którą rzucili na Warszawę. I tak proszę pana, Niemiec tak krzyczał, bo mu teściową zabili. Bo tylko teściowa była i tylko teściową zabili.

Grzegorz Łuszczynski: W zasadzie państwo byliście w 1939 r. na pierwszej linii frontu, można powiedzieć, tak? No bo od zachodu, atakując Warszawę, no to tutaj...

Alicja Kononowicz: Tak jest. Pierwsze bomby... Matki mojej nie było, bo poszła na pogrzeb koleżanki, która zmarła, na cmentarz polski i poszły tam kobiety z całego domu. Dzieci zostawiły same na dworcu. Myśmy się bawili i w pewnym momencie spadły te bomby. Myśmy nie wiedzieli co zrobić, gdzie się schować. To matki nasze się dowiedziały, że bomby spadły na Urlychów. To tak leciały, że ledwo doszły do nas. No bo kto by wymyślał? I to się okazało, że to właśnie ta bomba spadła na dom Niemca, a on się darł, tak nieludzko się darł, że cały Urlychów słyszał go. – Te właśnie pomagające oddziały, co to były tych Niemców, czyli to, co Niemcy wykorzystywali tych Ukraińców, bo to wiadomo, że ci byli, to też mama wie, bo tamta kobieta, która gotowała im, no to mama tam też pomagała, dostawała na to zupę jakąś,

coś. – Ja tam pomagałam tyle, że chodziłam na to pole, żeby jej przynieść warzyw, bo dużo trzeba było zrobić, tego kotły gotowała. To ja jej musiałam, bo ona była stara, miała ponad 70 lat. To oni nie byli w obozie, tam był taki ogrodnik, który miał, jak to się mówi? Wzgląd na te pola.

Grzegorz Łuszczynski: To znaczy, tu mówimy o tych ogrodach Urlycha, tak?

Alicja Kononowicz: To nie były urlychowskie ogrody chyba. To już było po tamtej stronie Woli. I tam był taki zwany badylarz. I u tego badylarza oni sobie zrobili właśnie tam takie zasiedlenie.

Grzegorz Łuszczynski: Ale Niemcy, tak?

Alicja Kononowicz: Nie Niemcy. Te Ukraińcy.

Grzegorz Łuszczynski: Znaczą z jednostek, które wspomagały Niemców, tak?

Alicja Kononowicz: Tak, tak, takie to draństwo takie. I oni właśnie tam spali, tam jedli, tam gotowała im ta pani i potrzebowała kogoś, żeby im donosił te warzywa z tych pól. No i ja byłam ta, która jej, bo ona z nami się tam kontaktowała. I potem z nami poszła. I z nami szła aż do tego miejsca, gdzie nas ta pani wyciągnęła. A potem to nie wiem, co się z nią stało. Tak wiem, że to było tak poza tą ulicą, która idzie tą, gdzie kościół jest, kościół do ulicy, a to było jeszcze tam parę metrów po tamtej stronie. Jestem pewnie jedynym dzieckiem, które pamięta te czasy.

Grzegorz Łuszczynski: A widziała pani te transporty, jak oni przywozili tych Żydów tam do tego obozu?

Alicja Kononowicz: Tego nie widziałam, proszę pana, ale tak jak mówię, budowali na moich oczach Majdanek. Bo ja jako dziecko biegałam po tym miejscu, po tym lotnisku. Biegaliśmy tam sobie, robiliśmy sporty i wszystkie inne rzeczy. Tak że ja jestem jedynym świadkiem tego, że to było lotnisko. Stare lotnisko. I ta nazwa Majdanka, to była właśnie taka nazwa, Majdanek. Od ulicy Majdan Tatarski. No bo skąd by się wzięło? Ta ulica to była główna ulica, którą się dojeżdżało do tej ulicy Rozdroże. I ta Rozdroże to była taka uliczka wąska między budynkami i tam się dojeżdżało i na tym Rozdrożu właśnie było wejście na lotnisko i taki stary hangar już taki do wyrzucenia. Wola to była straszna rzecz. To była straszna rzecz. Ludzie, wy nawet nie macie pojęcia. Tam były góry ciał, tak jak ten dzieciak opowiadał. To były góry ciał. Myśmy tam biegali, żeby to podejrzeć, ale baliśmy się tam wejść. Baliśmy się po prostu. Bo tam były takie ogrodzenia, takie ja nie wiem, jak w parku. I w tym ogrodzeniu oni tych trupów kładli do spalania. To było w samym parku. I to jeszcze przy tym grobie, przy pomniku tego Sowińskiego robili. Z premedytacją to robili, bo to jest przecież nasz bohater. Dwie tony prochów zebrali po wyzwoleniu. Tam jest kamień i tam na tym kamieniu jest wypisane – dwie tony prochów. Mój kolega tak, bo miał tam babcię i on poleciał do babci i jak mówię, jak strzelali, to strzelali po piersiach, a dzieciak był jeszcze młodszy, nie sięgnęło go. Jeszcze może się skulił ze strachu. Tak że przeżył, jeden jedyny. Nazywał się Niuniek Gruszewski. Mieszkał z nami w naszym domu. Tu stał dom Kilima, a tutaj było tak zwane Eldorado. Dom, który był... Niemcy potem tam gospodarowali. Wyrzucili Polaków i zasiedlili ten dom. I myśmy mieszkali tu, a tu była ulica Góralska i domki takie, domki jednorodzinne. A tu stał Pekin, ogromny pięciopiętrowy budynek. On jeszcze stoi.